

*TEKSTY
NA 100-LECIE*



NA CO STAĆ UCZNIÓW, JEŚLI NIE LUBIĄ NAUCZYCIELA? – Blanka Grychowska nauczyciel matematyki w latach 1975-2009.

Pracę w Liceum Żmichowskiej rozpoczęłam w 1975 r. po studiach matematycznych. Dostałam kilka klas, w których uczyłam matematyki i astronomii- przedmiotu wówczas obowiązkowego. Tak się złożyło, że objęłam klasy, w których uczniowie niezbyt wielką sympatią darzyli poprzedniego nauczyciela. Jak to bywa w takich przypadkach, postanowili na kimś się odegrać za pały. Ponieważ byłam dla nich osobą zupełnie nieznaną, a do tego jeszcze młodą, nadarzyła się więc idealna okazja.

Pewnego dnia kiedy weszłam do klasy, zauważyłam, że na tablicy, obok kredy i gąbki, stoi spory tasak do mięsa. Był pomazany gęstą czerwoną farbą, a na ostrzu widniały kępki włosów. W klasie panowała cisza i wisielcza atmosfera. Miałam wrażenie, że uczestniczę w jakimś kryminalnym filmie. Nie wiedziałam, co się dzieje. Czyżby jakieś ostrzeżenie? Czy moja szyja była w zagrożeniu? Z wrażenia zaschło mi w gardle. Zapytałam zduszonym głosem:

- Coootoojeeest? – cisza,
- Ktootooo położył? – grobowa cisza,
- Czyje tooojeeest? – mur ciszy.

Za każdym wypowiadając pytanie, wskazywałam palcem narzędzie, którego miejscem zwykle bywa kuchnia. Odpowiedzią było milczenie i tylko milczenie. Obawiając się nieprzewidzianych reakcji ze strony uczniów będących, bądź co bądź, w posiadaniu morderczego sprzętu, rzekłam:

- Nie pozostaje mi nic innego jak, zaanektować to coś, co tu widzę. Nie ukrywam, że czynię to z niechęcią i wstrętem, aczkolwiek z poczucia odpowiedzialności i dla waszego bezpieczeństwa.

Były to trudne czasy i zdobycie czegokolwiek, nawet zwykłego tasaka, bywało nie lada wyczynem.

Zrobiło się małe zamieszanie i z końca klasy dobiegł dziewczęcy głos:

- Proszę, nieeee, moja mama musi dzisiaj oporządzić nim kurę na rosół, bo jutro spodziewamy się babci.

W tej sytuacji nie pozostawało nic innego, jak zwrócić bezcenny sprzęt właścicielce.

Akcja zakończona, zaczęła się wreszcie normalna lekcja.

HISTORIA PEWNEJ KLASÓWKI - Blanka Grychowska nauczyciel matematyki w latach 1975-2009.

Pewnego dnia, kiedy zadzwonił dzwonek na przerwę, jeszcze kilku uczniów miało jakieś wątpliwości i zatrzymało mnie w sali, zasypując zbyt gorliwie pytaniami. Chciałam już wyjść, bo czas był na następną lekcję, ale ciągle ktoś miał jakieś wątpliwości. W pewnej chwili usłyszałam jakby zgrzyt zamka w drzwiach. Wreszcie, mimo wszystko, udało mi się dobrać do drzwi. Nacisnęłam klamkę, ale ta nie ustąpiła, ponowna próba, bez rezultatu, drzwi zamknięte.

Zaczęłam się martwić, bo dzwonił już dzwonek na następną lekcję i nauczyciel zapewne był już w drodze. Dziwił mnie tylko fakt, że uczniowie wcale się nie przejmowali tym nieoczekiwanym zdarzeniem, co więcej nawet zaproponowali, żebyśmy mieli kolejną lekcję matematyki. Ochoczo wyjęli zeszyty i ze zdwojoną energią przystąpili do pracy. Tymczasem z drugiej strony drzwi dobijał się już ktoś bardzo energicznie, choć bezskutecznie, krzycząc, żeby natychmiast otwierać. Sala znajdowała się na trzecim piętrze, więc trudno było szybko zorganizować pomoc, telefonów komórkowych nie było jeszcze.

Zrobiło się wielkie zamieszanie. Po korytarzu ktoś biegał i krzychał: zatrzaśnięte drzwi, zatrzaśnięte drzwi. Wreszcie przyszedł pan woźny i uwolnił nas za pomocą wytrychu.

Była wielka chryja, bo osobą, która tak nerwowo się dobijała, była bardzo sroga i wymagająca Pani od biologii. Dostało się nam wszystkim. Sroga Pani bowiem zaplanowała klasówkę i bardzo się wkurzyła, że jej plan nie wypalił.

MAŁA MYSZKA

Tego dnia wchodząc na lekcję i mijając tablicę zauważyłam kątem oka, że na tablicy obok gąbki leży coś małego i czarnego. W klasie panowała dziwnie niepewna cisza. Sprawdziliśmy pracę domową, powtórzyliśmy jak zwykle jakieś definicje. Ale coś wisiało w powietrzu. Podyktowałam zadanie i podeszłam do tablicy, aby zapisać dane. Poczułam, że

wszyscy zamarli. Wzięłam kredę i zaczęłam pisać. Czułam, że wszyscy z niepokojem, zamiast pisać, wiszą przerażonym wzrokiem na moich plecach. W pewnej chwili pomyliłam się i, nie patrząc, sięgnęłam odruchowo po gąbkę. Już miałam ją wziąć do ręki, kiedy z pełnej zgrozy ciszy, z piersi obserwatorów, wyrwał się jeden krótki głos: - oooh!

Odwracając się ostrożnie do uczniów, spojrzałam odruchowo na gąbkę i..... stanęłam jak wryta z ręką zawieszoną w powietrzu. Ogarnęło mnie okropne obrzydzenie.... obok leżała martwa mała myszka. Jedyne co pomyślałam sobie wówczas, to ile bakterii jest na tym ohydztwie.

Nie pozostawało mi jednak nic innego jak dalej grać tę czarną komedię. Usiadłam więc za stołem i zaczęłam wywoływać uczniów do tablicy. Oczywiście wszyscy z wyrazem odrazy na twarzy protestowali.

Cóż było robić? Wyraziłam spokojnie dezaprobatę, mówiąc, że w głowach mają siano zamiast rozumu i że tego ziela jest chyba w nadmiarze, skoro mają takie pomysły. Zadałam pracę domową i wysłałam traktując to zdarzenie, jak by go nigdy nie było. Po jakimś czasie uczniowie zapytali mnie, co czułam wtedy. Powiedziałam prawdę – obrzydzenie.

TAJEMNICZE DZWONKI - Blanka Grychowska nauczyciel matematyki w latach 1975 – 2009

Prowadziłam lekcję kiedy nieoczekiwanie, jakoś dziwnie wcześnie, zadzwonił dzwonek. Ponieważ nauczyciel ma dzwonek w głowie, wyraziłam swoje zdziwienie, że minęło dopiero kilkanaście minut. Ale uczniowie jak to uczniowie zakrzyczeli, że czas na przerwę. Na korytarzu było już słychać gwar. Nie dawałam za wygraną. Zagoniłam wszystkich do ławek. Oczywiście lekcja już nie była pełna skupienia, ale jakoś szła. Po kwadransie ponownie zadzwonił dzwonek. Co jest? – pomyślałam. W klasie panowało podniecenie i zamieszanie. Byłam naprawdę zła. Albo powiecie co się dzieje, albo jutro piszecie klasówkę - powiedziałam. Jak było do przewidzenia, widmo niespodziewanej klasówki natychmiast ostudziło umysły uczniów i przywołało je do porządku. Przyznali, że podłączyli się do dzwonka i sterowali nim, jak chcieli. Robili to od kilku dni, skracając niektóre lekcje o kilka minut, ale tego dnia poszli na całość. No coś w miarę jedzenia apetyt rośnie.

NAJDŁUŻSZA LEKCJA - Blanka Grychowska nauczyciel matematyki w latach 1975 – 2009

Był pierwszy kwietna - dzień wagarowicza. Tego dnia pierwszą lekcję miałam ze swoją klasą wychowawczą. Równy z dzwoniem otworzyłam drzwi sali i....., o rety, chyba pomyliłam drzwi.

Wszyscy uczniowie stali przy ławkach, a obok każdego z nich siedział pies. Każdy innej maści i wielkości. Od rasowego owczarka niemieckiego i wielkiego buldoga po małego kundelka.

Cała sytuacja była jak wyjęta z kadru. Nie mogłam się ruszyć z miejsca z powodu panicznego lęku przed psami.

Tablica znajdowała się w drugim końcu sali imusiałam przejść przed całą tą sforą.

Zebrałam wszystkie siły i z duszą na ramieniu i zamkniętymi oczami przycwatołowałam do tablicy.

Zacząłam lekcję z geometrii. Ręce mi się trzęsły, a język płątał ze strachu. Nie mogłam racjonalnie myśleć. Czas, którego zwykle brakuje, dłużył się niemiłosiernie.

Bałam się używać przyrządów w obawie, że nie spodoba się któremuś z „gości”, jak wywijam cyrklem czy linijką. Tym czasem w klasie panował spokój i porządek. Uczniowie wraz ze swoimi pupilami obserwowali ze stoickim spokojem moje poczynania.

W pewnej chwili nie wiedziałam już czy bardziej mówię do uczniów, czy ich pupili. Miałam wrażenie, że w oczach tych ostatnich widziałam tyle zrozumienia i wyrozumiałości, że gdyby nie mój lęk, to byłaby to niezwykła lekcja. Tym bardziej, że wydarzyło się coś bardzo nieoczekiwanego. Otóż jeden z kundelków, bardzo niecierpliwy, w pewnej chwili zaczął wskakiwać na ławkę i zeskakiwać, kręcić się wokół swojej właścicielki. Był wyraźnie znudzony. Wówczas podszedł do niego owczarek, położył mu łapę na grzbiecie i położył się obok. To natychmiast uspokoiło psiaka, zwinął się w kłębek i zasnął.

Ufff... dla mnie była to najdłuższa lekcja.

ŻARTY KRZYSIA - Blanka Grychowska nauczyciel matematyki w latach 1975 – 2009

To był Krzys Żartowniś. Zawsze coś mu chodziło po głowie. Na geografii, kiedy pytano o lewe dopływy Wisły, on jej podpowiadał prawe. Oczywiście do dziennika pała. Innym razem udało mu się przekonać wszystkich, łącznie z nauczycielem, że nie było pracy domowej. Wszyscy znosili żarty Krzysia aż do chwili, kiedy udało mu się przekonać

klasę, że nie ma ostatniej lekcji i mogą iść do domu. Wszyscy w podskokach pomknęli do szatni, tym bardziej, że miał być sprawdzian. Krzysz zaś wrócił do sali. Wszedł nauczyciel.

- Gdzie reszta, padło pytanie?

Nasz żartowniś z niewinną miną stwierdził, że nic nie wie, że pewnie się zerwali z powodu klasówki. Nauczyciel się zagotował i złożył, do mnie jako wychowawcy, skargę. Musiałam interweniować. Następnego dnia wszyscy, mimo protestów, zostali godzinę dłużej i pisali zaległy sprawdzian.

Dla Krzysia miałam niespodziankę. Oświadczyłam, że skoro ma energię na wymyślanie niedorzecznych pomysłów, to wykorzystamy ją, tę energię, do pożyteczniejszych celów. Miał wyszorować stoliki i lamperię w sali lekcyjnej. Stałam nad nim i wskazywałam niedociągnięcia. Jęczał, narzekał, coś mówił o niesprawiedliwości, jaka go dotknęła, o swojej niepełnoletności, trudnym dojrzewaniu i całkowitym braku zrozumienia u dorosłych, czyli u mnie, która powinna mieć dla niego więcej wyrozumiałości, bo on jest przecież tylko bezradnym uczniem. Ale zadanie wykonał.

NIECODZIENNY WYCZYN - Blanka Grychowska nauczyciel matematyki w latach 1975 – 2009

Pewnego dnia chłopcy swój nadmiar energii i fantazji zademonstrowali w niecodzienny sposób. Podczas przerwy, idąc korytarzem, usłyszałam w pobliżu jakiś łomot. Pobiełam w kierunku hałasu i zobaczyłam, jak z drugiego piętra po schodach na jakiejś szerokiej desce, siedząc okrakiem jak na sankach, zjeżdżało kilku dryblasów. Kiedy wylądowali na pierwszym piętrze i zobaczyli swoją wychowawczynię nie bardzo wiedzieli, co robić. Po chwili, zawiadomiona przez panią sprząającą, zjawiła się pani dyrektor. Decha, na której odbywali zjazd, okazała się drzwiami wyjętymi z zawiasów w toalecie, zresztą w wyniku „niewłaściwego użytkowania” przełamany na pół. Schody zostały lekko uszkodzone a ściana porysowana. Same straty. Pani dyrektor stwierdziła, że będą zmuszeni pokryć koszty wyrządzonych szkód i życzy sobie widzieć ich rodziców. Następnego dnia dostali kosztorys. Był wysoki. A jeszcze perspektywa wizyty rodziców w szkole. Zbyt dużo jak na jeden raz. To ich otrzeźwiło. Dokonali dogłębnej analizy wydatków, jakie będą mieli ponieść. Kolejnego dnia wpadli na lekcję wzburzeni, twierdząc, że kosztorys jest mocno zawyżony. Kto to liczył? Im wychodzą inne ceny, sprawdzili w sklepie i takie tam. Podali realny koszt naprawy schodów i ścian, zakupu drzwi i ich wstawienia, łącznie z transportem materiałów. Postanowili, że sami się tym zajmą. Pracowali po lekcjach. Wkrótce szkody zostały naprawione.

NIEOCZEKIWANY DZIEŃ 8 MARCA - Blanka Grychowska nauczyciel matematyki w latach 1975 – 2009

W jednej z klas maturalnych klasówka z matematyki wypadła akurat w Dzień Kobiet. Wszystkie uczennice, bo była to klasa żeńska, zabrały się do pisania. Był to okres, kiedy budynek szkolny remontowano, zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz. Szkoła otoczona była rusztowaniami. Ponieważ chwilowo na rusztowaniach nic się nie działo, a dzień był ciepły, więc otworzyłam okno. W klasie panowała pełna skupienia cisza.

Nagle ten spokój przerwał dziki wrzask:

- Julka ja cię kocham, wróć do mnie!-

Było to jak grom z jasnego nieba. Wszyscy, z przerażeniem w oczach, poderwali się na równe nogi z okrzykiem:

- o matko jedyna!

W oknie stał jakiś wysoki, chudy osobnik oklejony papierowymi, czerwonymi sercami z megafonem w jednej ręce i naręczem czerwonych róż na drugiej.

Nim ochłonęłyśmy z pierwszego, piorunującego wrażenia, zdążył zeskoczyć z parapetu na podłogę, padł na kolana i dalej wykrzykiwał coś na temat miłości do Julki, że jej nie opuści aż po grób, i że jest jej Romeo.

Wtedy do akcji wkroczyła Julka, była to solidna kobietka i bardzo zdecydowana. Podeszła do swojego wielbiciela mówiąc mu, że docenia jego wysiłek i inwencję i że porozmawia z nim w domu. A w obecnej chwili lepiej będzie, jeśli przestanie pajacować i wróci tą samą drogą, którą przybył.

Wtedy Romeo niemalże ze łzami w oczach i pełnym dramatyzmu głosem stwierdził, że za nic, bo ma lęk wysokości - akcja rozgrywała się na drugim piętrze. Wykazał się jednak przytomnością umysłu i z szerokim uśmiechem oraz komplementami na ustach obdarzył każdą z nas różą.

I tak zakończył się szalowy sprawdzian z matematyki ósmego marca.

BOMBOWE DNI - Blanka Grychowska nauczyciel matematyki w latach 1975 – 2009

Zdarza się niekiedy tak, że cierpliwość nauczyciela, w przeciwieństwie do pomysłów i głupoty uczniów, jest skończona. Tak było tym razem. Rano pani sekretarka otrzymała anonimowy telefon o podłożeniu w szkole bomby. Zawiadomiono kuratorium, stosowne służby w wydziale policji i ewakuowano wszystkich obecnych. Uczniowie radośnie opuścili budynek. Zjawili się specjalnie przeszkoleni fachowcy z psem. Pies obwąchał wszystkie kąty. Nic nie znaleziono. W jakiś czas później historia się powtórzyła. Wówczas pani dyrektor zawiadomiła uczniów, że jeśli ktoś ma jeszcze w zanadru bombowy pomysł, to musi się liczyć z tym, że lekcje będą odbywać się w soboty. I to była najlepsza bomba, bo więcej nie usłyszano o jakichkolwiek bombach ani dużych, ani małych.

WYCIECZKA SZKOLNA - Blanka Grychowska nauczyciel matematyki w latach 1975 – 2009

Wiosną, jak to często bywa, pojechałam z klasą wychowawczą na wycieczkę szkolną w góry. Po całonocnej podróży pociągiem wysiedliśmy, objuczeni plecakami, w Piwnicznej. Tu mieliśmy noclegi i stąd zamierzaliśmy robić wypad w góry. Po śniadaniu, w dobrych humorach i pełni optymizmu, ruszyliśmy na rekonesans po okolicy. Była to rozgrzewka przed kolejnymi eskapadami. Pogoda dopisywała. Dzień minął błyskawicznie. Po kolacji i miłej pogawędce wszyscy udali się na spoczynek.

Nic nie zapowiadało tego, co nastąpiło potem. Późną nocą ze snu wyrwał mnie jakiś hałas. Udałam się w kierunku, skąd dobiegały dziwne odgłosy. Dotarłam do sali, gdzie nocowali chłopcy. Otworzyłam drzwi. W powietrzu latały poduszki, ręczniki, części ubrań. Było ciemno od kurzu. Wszyscy uwijali się jak w ukropie. W sali panował nieopisany chaos i bałagan. Na podłodze walały się wybebeszone plecaki, ubrania, na stole resztki jedzenia, kubki, termosy. Nagle w moim kierunku poleciała jakaś poducha, zdążyłam ją złapać w ostatniej chwili. Nikt nie zauważył mojej obecności i nadal w powietrzu latały różne obiekty. Ostaniając się poduchą jak tarczą, usiłowałam dobrać do kontaktu. Wyłączyłam światło, żeby ostudzić ataki. Ktoś zawołał:

- Chłopaki światła nie ma, kto ma latarkę ?

Włączyłam światło i chciałam coś powiedzieć, ale zobaczyłam lecący but. Zrobiłam unik, zasłaniając się poduchą i ponownie wyłączyłam światło. Na chwilę wszyscy z zaskoczenia umilkli. Wreszcie udało mi się przebić głosem przez ten cały galimatias. Włączyłam światło i zobaczyłam, jak wszyscy na mój widok wypuszczają z rąk wszelkiego rodzaju „broń”. Wstąpiła we mnie jakaś furia. Wszyscy marsz na korytarz! Zawołałam.

Zzajana i spocona armia pomaszerowała tam, gdzie wskazałam. A teraz w szeregu zbiórka!

Robicie po dwadzieścia pompek i przysiadów, trzy zmiany. Starali się, jak mogli, ale wychodziło różnie. Po zakończeniu pogałam ich do sali i poleciłam wysprzątać wszystko na błysk. Dochodziła druga po północy, kiedy uporali się z porządkami. Wyłączyłam światło, zapowiadając, że w dzień czeka ich niespodzianka, więc niech wykorzystają te resztki nocy na wypoczynek.

Zamykając drzwi, usłyszałam jeszcze:

- Ej! chłopaki lepiej się już spakujmy, bo rano zobaczycie pobudka będzie o piątej.

Pobudka była, ale nieco później, a w perspektywie czekał ich ponad dwudziestokilometrowy marsz. Po bojowej nocy szli noga za nogą stękając, że nie mają siły, że im się porobiły pęcherze na stopach i że mają wszystkiego dość. Doszliśmy do przystanku autobusowego, gdzie akurat podjechał autobus. Już przypuścili szturm do drzwi wejściowych. Jednak bardzo się rozczarowali, że wsiadły tylko dziewczęta opadłe z sił, a oni zostali na zewnątrz. Nie sądzili, że będę taka bezwzględna i zmuszę ich do dalszego marszu. Ale jak wiadomo, każda przyjemność ma swoją cenę. Za nocne harce musieli zapłacić kilkugodzinną wędrówką po górach. Przy okazji przekonali się „na własne nogi”, że jestem dobrym piechurem. W perspektywie więc mieli jeden wybór albo harcować, albo stosować się do zasad ustalonych przez mądrzejszych. Dzięki temu dalsze dni wycieczki były już wielką przyjemnością.

MALOWANIE ŚCIAN - Blanka Grychowska nauczyciel matematyki w latach 1975 – 2009

W jednej z klas maturalnych nie wszyscy byli wielbicielami matematyki. A zbliżał się koniec roku szkolnego i ocena z tego przedmiotu stawała się coraz większym problemem. Uczniowie wymyślali różne fortele jak tu zdobyć, chociaż dopuszczającą ocenę. Bo każdy nawet łatwy sprawdzian kończył się niepowodzeniem. Dla mnie też był to problem, gdyż wszystkie moje wysiłki, poprawienia im ocen, kończyły się fiaskiem. Wpadłam więc na pewien pomysł.

Wiedziałam, że nie zrobię z nich już matematyków, więc niech oni zrobią coś pożytecznego dla swojej szkoły. Klasa ta większość zajęć miała na ostatnim piętrze, gdzie ściany korytarza pokryte były jakimś napisami, strasznymi bohomazami. Każdy poczuwał się w obowiązku wyrażenia rysunkiem czy rymowaną swoich uczuć. Można było tam znaleźć informacje napisane w różnych kolorach i różnym pismem o zawiedzionych i niezawiedzionych miłościach, o sympatii bądź jej braku w stosunku do nauczycieli, o poglądach na świat i wiele innych. Bogactwo tematyki było godne podziwu. Być może mieli nadzieję, że potomni będą z zainteresowaniem to czytać. O naiwni!

Zaproponowałam więc, że w zamian za ocenę dopuszczającą, uczniowie pomalują ściany na jakieś jasne kolory, ale swoim sumptem i pracą własnych rąk. Miałam pewne obawy czy zaakceptują ten pomysł. Ale o dziwo nie było żadnych protestów. W kilka dni później ściany korytarza pachniały nowością i rozweselały oczy pogodnymi barwami.

LATAJĄCE UDKO KURCZAKA - Blanka Grychowska nauczyciel matematyki w latach 1975 – 2009

Nauczyciele, jak wielu pracowników w innych zawodach, muszą się stale dokształcać. Pewnej jesieni kilku nauczycieli zostało oddelegowanych na tzw. szkolenie w dziedzinie podnoszenia wyników nauczania wśród uczniów. Mieliśmy wykłady, zajęcia praktyczne, dyskusje. Czas wolny był podczas posiłków. W czasie jednej z takich chwil siedzieliśmy we czwórkę przy stoliku. Oprócz ówczesnej pani dyrektor, mnie i jednej z nauczycielek towarzyszył nam młody nauczyciel przedmiotu humanistycznego, który siedział naprzeciwko pani dyrektor. Każdy z nas miał przed sobą jakieś smakowite danie. Przy miłej pogawędce zaczęliśmy delektować się potrawami, które nam zaserwowano. W pewnej chwili pan humanista zaczął szamotać się z udkiem kurczaka. Usiłował je przekroić, ale za każdym razem wymykało mu się spod noża i widelca. Trwało to dobrą chwilę, aż wreszcie zdeterminowany przycisnął je mocniej. Nagle zobaczyliśmy jak coś przeleciało nam przed oczami i wylądowało na biurku pani dyrektor po czym zsunęło się i wpadło do jej talerza. Wszyscy powiedli wzrokiem za lecącym nieoczekiwanie pociskiem, a następnie spojrzeli na osobę, która dopuściła się tego czynu. Zobaczyliśmy bladego z przerażenia, młodego nauczyciela, który siedział jak sparaliżowany. Tymczasem pani dyrektor ze stoickim spokojem, jakby się nic nie stało, spojrzała na swój biust i, przecierając serwetką nieco zatłuszczony fragment bluzki stwierdziła z humorem, że w zupełności wystarczy jej to, co ma na talerzu, ale docenia hojność humanisty. Po czym poprosiła, by, mimo wszystko, zabrał składową część swojego dania. Sytuacja była tak komiczna, że ogarnął nas niepohamowany śmiech. Natomiast nasz nieszczęśnik nadal nie mógł ochłonąć z wrażenia i siedział nieruchomo. W wesołym nastroju dokończyliśmy posiłek, chociaż nasz pan jeszcze długo, chociaż niepotrzebnie, czuł się bardzo nieswojo.

SPOTKANIE Z MARKIEM KOTAŃSKIM - Blanka Grychowska nauczyciel matematyki w latach 1975 – 2009

Naszą szkołę odwiedzało wiele znanych artystów, dziennikarzy, aktorów, muzyków, kabareciarzy. Wszystkie te spotkania były niezwykle ciekawe, budujące i miłe. Dla mnie szczególnym było spotkanie z Markiem Kotańskim, założycielem „Monaru” - ośrodka dla osób uzależnionych. Choroby, która dziesiątkowała wielu młodych ludzi. On jednak wytrwale dążył do celu. Miał w sobie tyle sympatii dla drugiego człowieka, tyle charyzmy, człowieczeństwa, że trudno było go nie docenić. O swojej pracy z osobami uzależnionymi opowiadał w tak naturalny sposób, że chciało mu się natychmiast pomagać. Dzięki swojemu zaangażowaniu i stylowi potrafił stworzyć coś niezwykłego i bardzo potrzebnego. Coś, co dzisiaj kontynuują jego następcy.